Krzeczkowski Dwa wieńce

„DWA WIEŃCE"

POEMAT

Leonarda Krzeczkowskiego.

KRAKÓW.

NAKŁAD I DRUK W. KORNECKIEGO.

1892.

„DWA WIEŃCE“.

0.60

„DWA WIEŃCE"

POEMAT

LEONARDA KRZECZKOWSKIEGO.

KRAKÓW.
DRUK I NAKŁAD W. KORNECKIEGO.
1892.

PIEŚŃ I.

Panno Najświętsza, co się Polski zwiesz Królową
I mądrości Stolicą! Co nad Częstochową
Czuwasz ciągle i miejsce to wsławiasz cudami!
Jak od wieków do Stwórcy wstawiasz się za nami,
Tak i w obecnej chwili wstaw się za mną, proszę,
Gdy zbolałą swą duszę do tych miejsc przenoszę,
Gdzie niewygasłym ogniem gore Twoja chwała,
Gdzie miłością ku Tobie każde serce pała
I spraw, by Stwórca pracy mej pobłogosławił,
A każdy z Czytelników Twoje imię sławił.
Tyś nam wieszcza Adama uzdrowiła cudem,
By śpiewał Twoją chwałę między Twoim ludem,
A gdy umilkły dźwięczne lutni Jego stróny,
Rozkaż, niech licha lira dźwięczne wyda tony

I niechaj gra bez przerwy. Przy niej lirnik siędzie,
A otarłszy łzy z oczu, Tobie śpiewać będzie.

W Galicyi, gdzie od wieków czczą Boga Rodzicę,
Leżą miasta Buczacza piękne okolice.
Urodzajna równina. Za równiną wzgórza,
W płynącej szparko Strypie kąpią swe podnóża.
A w około posępne drzemią bory stare,
Tuż obok nich pastwiska — tam znów zboża jare
Z dalszych równin swe główki podnoszą ciekawie,
By zobaczyć krajobraz czarujący prawie,
Słowem cała ta okolica pełną jest urody,
Iście, jak faworytka potężnej przyrody.
Godny tej okolicy sławny Buczacz stary,
Dziś niechlujny i szpetny, jak człowiek bez wiary,
Wysłał jedno z swych przedmieść do ram krajobrazu,
Któryś już rzutem oka oglądał od razu.
I jak niejedno z dala mile oko pieści,
Choć w istocie pięknego nic w sobie nie mieści,
Tak i owo przedmieście, lubo nic pięknego,
Zdobi także krajobraz. Wejdźmy więc do niego.
Maluczki to zaułek. Zwie się Nagorzanką,
Mieszkał tu niegdyś Wojtek z żoną swoją Hanką.

Oboje ludzie starzy. Mieli syna Jana,
Pełnego krwi i zdrowia pięknego młodziana.
Żyli w wielkiej przyjaźni z Bartkiem, swym sąsiadem.
Odwiedzali go czesto nawet przed obiadem,
A że obiadem chłopi śniadanie nazwali,
Zdarzało się, że Bartka w łóżku zastawali.
Raz, już późnym wieczorem, w zbyt późnej jesieni,
Hanka i Wojtek przyszli bardzo ucieszeni
Do chaty Bartłomieja; a widać z ich miny,
Że pomyślne ze sobą przynieśli nowiny.
„Szczęść Boże Wam sąsiedzie!“ rzekła pierwsza Hanka;
„Szczęść Boże!“ dodał Wojtek „i od mego Janka!“
„Szczęść Boże!“ odparł Bartek „co was ucieszyło
Tak, żeście aż zmienieni. W nocy mi się śniło,
Że się Janek ożenił“.
„O! ja wam nie powiem“,
Przerwał prędko mu Wojtek, „bo się bardzo boję.
Wiem, że rzadko się spełnia, o czem naprzód mówią,
Przez to, że bają naprzód, ludzie sobie psują
Częstokroć wielkie szczęście; bo gdy się rozniesie
Wieść o wielkiej fortunie, bies biedę przyniesie“.
„Mnie możecie powiedzieć“ odrzekł Bartek na to,
„Że nikomu nie powiem, ręczę słowem zato.“
„Aha! wy nie powiecie!“

„A dalbóg nie powiem".
„No to wam powiem wtedy, kiedy się już dowiem,
Że wszyscy wiedzą o tem".
„Kiedym ja ciekawy;
Powiedzcie mi to dzisiaj!"
To są ważne sprawy;
Powiem wam innym razem".
„Powiedzcie mi teraz!
Ja też ważne rzeczy mówiłem wam nieraz!"
„No niech Hanka wam powie" odrzekł Wojtek na to.
„Ja już wiem" rzekł znów Bartek „Janek całe lato
Starał się o Marylę. Pewnie się chce żenić".
„O, tak! tak! dał już słowo! nie mogę go zmienić!"
Powiedział w końcu Wojtek prawie ze łzą w oku,
„Tak, tak!" dodała z płaczem Wojciechowa z boku.
Bartek również zwilżone ocierał powieki,
I iście na pół płacząc z prawdziwej uciechy,
Całował Hankę w rękę, a Wojciecha w czoło,
I w te się słowa ozwał do gości wesoło:
„Daj Wam Boże, abyście wnuków doczekali
W szczęściu i byście nigdy smutku nie doznali.
A o to dziś najbardziej proszę Pana Boga,
Byście nigdy nie mieli w życiu swojem wroga."

Poczem gości do drugiej izby zaprowadził,
A podawszy przekąskę, za stołem posadził.
O weselu ich syna mówił bardzo wiele,
Rozprawiał, że ślub jego będzie w tym kościele,
Co Mikołaj Potocki swym kosztem zbudował
I u wejścia tej treści napis przymocował:
Chcąc Potockich Pilawa mieć trzy krzyże całe
Dom krzyżowy na Boską wybudował chwałę.
Uwielbiał za to tego szlachetnego pana,
Którego wielka zacność szeroko jest znana,
Który tyle dobrego zrobił dla ludzkości,
Że hołdować należy jego szlachetności;
I tak wiodąc gawędę o tem i o owem,
Powiedział w końcu Bartek: „Mówiąc jednem słowem,
Jaś z Marylą się żeni! Niech Bóg błogosławi
I to niechaj wszechmocą swą najświętszą sprawi..“
Tu przerwał, bo w tej chwili stanął Janek w progu,
Niespodzianie nadszedłszy i rzekł: „Sława Bogu.“
„Na wieki wieków Amen! Jak się masz kochany“
Odrzekł Bartek zdziwiony i uradowany
Niespodzianem przybyciem Janka o tej porze.
Jednak Janek był jakoś w niedobrym humorze.
Snać, że coś złego wiedział, bo kryjąc zmartwienie
Pod fałszywym uśmiechem, dał niepostrzeżenie

Znak rodzicom swym głową, by poszli do domu,
Ale o swem zmartwieniu nie mówił nikomu.
Bartek westchnął głęboko i głową pokiwał,
Spojrzał smutnie na Janka, snać się domyśliwał
Przyczyny jego smutku.
Wkrótce goście razem
Opuścili dom Bartka. On zaś przed obrazem
Częstochowskiej dziewicy upadł na kolana
I codzienną modlitwę słał po Niebios Pana:
„Racz zezwolić Wszechmocny Stwórco nasz i Panie,
Że niegodni do Ciebie zanieść swe błaganie
Zaniesiem je do Tronu Królowej Polaków
Za siebie, za lud polski i polskich magnatów.
Minęły długie lata, odkąd z Bożej woli,
Po utracie Ojczyzny, żyjemy w niewoli,
Lecz wyrzec się nadziei, że będziem wolnymi,
Nie śmiemy, bo jesteśmy Twymi poddanymi
A Tyś z nami jest zawsze, więc kpim sobie z wroga,
Gdy bluźni, że w niewolę pojął Matkę Boga
Nie zginęliśmy jeszcze! Lecz Ten Święty, Święty!
Jako ów pan, co rozdał trzem sługom talenty,
Rozdał Ojczyznę naszą między trzech mocarzy
I z włodarstwa zażąda liczby od włodarzy.

A biada wówczas 'owym, którzy się nas bali
I co lepsze talenty nasze zakopali
W sromotnym germanizmie, i tym co do grobu
Wpędzili przez katusze talenty narodu.
Biada tem większa, żeśmy ulubieńcy Boga;
I on chociaż wydawał Polskę w ręce wroga,
Rozdarł ją na trzy części na znak troisty,
I ażeby utrwalić ten dogmat wieczysty,
Pieczy każdej z swych osób część Polski przeznaczył
A całość Twoim rządom Maryo, oddać raczył.
Ty więc, o Pani nasza, w tych dniach ciężkiej próby
Broń nas i racz zachować od moralnej zguby,
Oświeć tych przedewszystkiem, co do zguby wiodą
Złym przykładem, nieuctwem, niedorzeczną modą.
Dalej tych niedojrzałych naszych apostołów,
Co kręcą się wśród ludu i u pańskich stołów,
Ucząc, jako polepszyć los ludu potrzeba,
Jako raj mu otworzyć lub przychylić nieba,
I tak tumanią chłopków, że w końcu z nich wiele
Spieszy na śmierć głodową, jakby na wesele
Hen aż tam do Brazylii i Bóg wie gdzie jeszcze,
I odwieść ich nie mogą ni księża ni wieszcze
Od zgubnych emigracyi, bo tak są olśnieni
Blaskiem łganego szczęścia, że nikt z nich nie zmieni

Złego postanowienia. Każdy chętnie spieszy
Na głód, i swym pospiechem i smuci i śmieszy.
Tych apostołów, Matko, nim oświecić raczysz,
Oddal od swego ludu, bo wkrótce obaczysz
Wielką część nieszczęsnego polskiego narodu,
W puszczach chleba łaknącą i ginącą z głodu.
Niechaj lud Twój już wytrwa tu na polskiej ziemi,
Póki Pan jego dolę na lepszą nie zmieni.
Broń nas od tych nieuków, co między lud wchodzą
I mędrkując od wiary świętej go odwodzą,
Co prawią o papieżu i dogmatach wiele,
A o zwykłym pacierzu dawno zapomnieli,
Bo teraz w naszym kraju jest już wielka bieda,
Każdy chciałby nauczać, a uczyć się nie da,
Chłystek z drugiej normalnej już filozofuje,
Już o dogmatach wiary grzesznie dysputuje,
A jak ma trzy normalne, to skończony człowiek,
Gardzi książką już aż do zawarcia swych powiek,
Ale na prawdy święte wiecznie utyskuje,
Rzuca się na kapłanów, sławę im ujmuje,
Nawet na literatów i cenne gazety,
Znając dwa abecadła, bazgrze już pamflety.
Mędrców zwie nieukami, gazety plotkami.
O Matko! miejże litość nad temi głowami!

Także od adwokatów tych strzeż nas o Pani,
Którzy, nie znając prawa, niszczą procesami
Ubogi ciemny ludek. Jest ich już za wiele,
A siedzą po kącikach, jak pająk w kościele,
Więc trudno, by nas władze całkiem ochroniły
Od ich zręcznych zasadzek. Więc niech Syn Twój miły
Broni, byśmy nie wpadli w te siecie pajęcze,
A gdy z nas much kto słówkiem o sporze zabrzęczy,
Niech unika te sidła z Twej łaski ta mucha,
Bo skoro brzęk o sporze pajączek podsłucha,
Już schwyci w swoje pęta i krew z niej wyciągnie
Pyszczkiem zwanym „procesem“ co wieki się ciągnie.
Więc w owych chwilach Matko, kiedy zaszły waśnie,
Wiedź nas nie do pokątnych, co plotą nam baśnie,
Lecz do tego, co dał nam święte prawa nasze:
„Niech nie zachodzi słońce na zatargi wasze“,
A kiedy już koniecznie bronić praw swych trzeba,
To do prawych rzeczników niech wiodą nas nieba.
Lecz, by i pokątni nie pomarli z głodu,
Daj im sposób do życia i chroń ich od chłodu.
Broń też od samorodnych lekarzy, doktorów,
Od wróżbitów, czarownic i wszelkich znachorów,
Abyśmy się za wcześnie z światem nie żegnali,
Lub w rodzinie przedwczesnych strat nie żałowali.

Dalej od sądów ludzkich, tych strzeż nas Królowo,
Gdzie sąd wydaje brutal lub człek z płytką głową,
Bo jak jeden, tak drugi wepchnie w biedę człeka,
Czasem tak, że już nigdy prawdy nie doczeka.
Zachowaj lud swój — Pani — także od pijaństwa,
Co ubestwia i budzi skłonność do grubiaństwa,
Do rozbojów, kradzieży, często doprowadza,
Niedostatek i nędzę do domu sprowadza,
Osłabia wszelkie cnoty i charakter zmienia,
A nigdy nie przynosi dobrego imienia;
Bo człek i najpoczciwszy, gdy jest w takim błędzie,
Zwanym jest suszykufą od wszystkich i wszędzie.
Od wszystkich tedy przygód i złych przywar wszelkich
Broń i do ich odparcia uproś nam sił wielkich.
A wreszcie Twej opiece panów poruczamy;
Niechaj im drogim będzie ten kraj nasz kochany,
Niechaj go kawałami nie sprzedają marnie,
Bo zniknie cała Polska, choć przetrwa męczarnie“.
Tak skończywszy swój pacierz, Bartek nasz na łoże
Rzucił się; wkrótce zasnął, westchnąwszy: „o Boże!“

PIEŚŃ II.

Już dwunasta! Już północ. Niebo zachmurzone,
Jak gdyby czarnem suknem było zasłonione.
Ciemno, choć oko wykol; bo światło księżyca
Czarnym kirem okryte, ziemi nie oświeca.
Czasami wiatr ryknąwszy, nieboskłon obnaży,
Szyderczą twarz księżyca na chwilę ukaże,
I znowu ją zasłania, a nowymi jęki
Zdaje się naśladować skazanych na męki
Piekielne; jego siłą flora poruszana,
Wydaje szmer podobny do śmiechu szatana.
Dmie znów i wyobraźnią na dno piekieł niesie,
Wlecze ją tam przez ognie i przybytki biesie,
Przez pułk potworów szpetnych i szatanów tłumy,
Przez tłum jeńców w ogniste odziany całuny,
Aż zawył i kilkakroć nieboskłon obnażał,
Szyderczą twarz księżyca na chwilę ukazał,
Wstrząsł jeszcze zmarzłą florą ostatnim oddechem
I złudzenie szatańskim pożegnał uśmiechem.
W taką to noc ponurą, pełną tylu wrażeń,
Przesuwa się jakaś postać, ale mimo marzeń,

O ogromnych korzyściach tej nocnej wyprawy,
Widać na twarzy jego znak wielkiej obawy.
Powoli, krok za krokiem, szepcąc sobie z cicha,
Idzie; trwożliwe myśli napędza do licha.
Stanął przed chatą Wojtka; zapukał nieśmiało
Do okna i zawołał? „Wojtku już o mało
Bylibyście spóźnili jazdę swą dzisiejszą“.
Lecz Wojtek udał, że śpi i z krwią najzimniejszą
Czekał, co dalej będzie, bo wiedział kto puka.
Postać zaś niecierpliwie ciągle dalej stuka;
A czem raz głośniej, silniej, tak że Wojtek wreszcie
Krzyknął: co mi pukacie!? Precz mi się wynieście!“
„Ależ to ja, Wojciechu! ja! Hipolit! pukam,
Ja was już od godziny po całej wsi szukam.
Myślałem, że nie śpicie mając dzisiaj jechać,
Szukałem was u Bartka, ten kazał mi czekać
U siebie na was mówiąc, że pewnie przyjdziecie,
On się nawet domyśla, że wy pojedziecie
Do Brazylii. Lecz prędko otwórzcie mi proszę“.
„Ah! a! to pan Hipolit? zaraz, zaraz proszę,
Ja otworzę“ rzekł Wojtek udając, że teraz
Dopiero poznał gościa, a robił tak nieraz.
„Otóż przychodzę Wojtku, jako obiecałem
I przynoszę pieniądze. Więcej nie dostałem,

Pożyczyć dziś nikt nie chce. Ja zaś nie mam zgoła.
I za tem do późnego łaziłem wieczora“.
Rzekł gość w izbie i rzucił garść grosza na skrzynię.
Wojtek spojrzał i westchnął: „Boże! co ja czynię“.
„Ale bądźcie spokojni, nic wam się nie stanie“,
Przerwał prędko Hipolit. „Po co to wzdychanie?
Jedziecie użyć świata. Tu nie ma co robić,
Tu już tak źle w Galicyi, że chyba się dobić“.
„Prawda, że źle“, rzekł Wojtek, „Lecz Bóg łaskaw prze-
„Wam takie rzeczy gadać? Toż chyba nie wiecie, [cie“.
Że Bóg tylko nieszczęściem potrafi szafować?
Ale, aby nad biednym człekiem się zmiłować,
Nie skory; jeśli biedak sam z biedy nie wybrnie,
To zgubiony. Próbujcie błagać w nocy, we dnie
Miłosierdzia bożego. Uklęknijcie z rana
I do samej północy módlcie się do Pana,
Czy da wam choć grosz jeden?... Nie, nie! ani mowy!..
Przyjmijcież więc odemnie ten pieniądz gotowy
I jedźcie do Brazylii! Jest tu dwieście złotych,
Jeśli dostanę więcej za grunt wasz, to do tych
Pieniędzy dodam jeszcze. Poślę, gdzie będziecie;
Wy mi przecież z Brazylii kiedyś napiszecie.
Może wam właśnie wtedy grosza będzie trzeba,
Może tam — tak od razu — nie znajdziecie chleba,

Więc zawsze dobrze kogoś mieć w swojej krainie,
Ktoby musiał wam pomóc w złej waszej godzinie.
A ja wam będę musiał dopomóc, bo przecie
Mając pełnomocnictwo wasze, jak już wiecie,
Sprzedam wszystko co macie, popłacę podatki
Zaległe już od dawna i inne wydatki
Pokryję już tu za was. Za kontrakt zapłacę,
Za stemple i tabulę i za swoją pracę
Kilka złotych wziąść muszę. Resztę w każdej chwili
Poszlę wam, jeśli o nią będziecie prosili.
Lecz z góry zapowiadam, że nie będzie wiele,
Bo kiedym przypadkowo był wczoraj w kościele,
Szepnął mi stary Sknerski, co grunta kupuje,
Że gospodarstwo wasze na trzysta szacuje".
„Więc kiedyż mam już jechać?" spytał Wojtek zcicha.
„Wolałbym był już dawno przepaść gdzie do licha,
Jak dziś aż do Brazylii jechać, kiedy Janek
Marzy już o swym ślubie. Dziś przez cały ranek
Prawił mi o Maryli, przyszłej swojej żonie,
Że będzie z nią szczęśliwszy, jak sam król na tronie.
A największem dlań szczęściem, mówił ze łzą w oku,
Będzie: starych rodziców mieć przy swoim boku.
Mogę więc dziś opuścić swą wiejską zagrodę,
Rozerwać tę szlachetną, biedną parę młodą,

Biorąc Janka od lubej z sobą w obce kraje?
Powiedzcie Hipolicie! jak wam się wydaje?
Powiedzcie mi też: kogo serce nie zaboli,
Porzucać swą zagrodę, choćby dla złej doli
I jechać gdzieś w nieznane dalekie krainy,
Może dla większej nędzy, zupełnej ruiny?“
„Więc pocoście mi głowę wszyscy zawracali?“
Spytał gniewnie Hipolit. „Pocoście przystali
Na moją propozycyą? Po co? pytam, po co?
Po co ja się trudziłem do was dzisiaj nocą?
Powiedzieliście przecież, że gdy grosz przyniosę,
To jazda bez namysłu. Otóż wam przynoszę.
Czego więcej żądacie i czemu zwlekacie?
Dziś mieliście odjechać. Nad czemże dumacie?
Czemu ja tak nie dumam? Rzekłem: Wojtku grosze
Dziś być muszą i popatrz... w północ ci przynoszę.
Znaj co dobry przyjaciel. Widząc że was czeka
Wielkie szczęście w Brazylii, jakie tylko człeka
Spotkać może na ziemi, nie żal mi i nocy,
Byście je osiągnęli przy mojej pomocy.
Więc jedźcie! jedźcie z Bogiem, kiedy Mu ufacie,
A gdy wam będzie dobrze, piszcie jak się macie.
Hanka i Janek leżąc słuchali rozmowy,
A gdy skończył Hipolit, Jan rzekł temi słowy:

„Wiedziałem, że pan do nas dziś z pieniądzmi przyjdzie,
To od rana mię gryzło. Panu to nie wyjdzie
Na dobre, że nas pan stąd chce w świat gdzieś wyprawić,
Panu nie będzie nigdy Pan Bóg błogosławić.
Do dziś i ja też chciałem jechać do Brazylii,
Lecz gdy mam przyrzeczoną już rękę Maryli,
Nie pojadę i ojcu jechać nie pozwolę,
Choćbyśmy tu żyć mieli o chlebie i soli.
Tu będzie smaczny kawał razowego chleba,
Choćby gorzką łzą zlany. Może kiedy nieba
Przecież się ulitują i polepszą dolę.
A teraz znieść potrzeba Najwyższego wolę.“
„Tak, tak, wtrąciła Hanka, podnosząc się z łoża,
Zostaniemy! nie jedziem! Dziej się wola boża“.
„No! to Pan Bóg was skarze, bo to ojciec święty
Wzywa lud do Brazylii. Kto jest raz przyjęty
Do Brazylii, nie zginie, to już rzecz papieża,
Aby wam było dobrze; on do tego zmierza,
Aby dobry katolik mógł żyć dobrze w świecie.
O tem przecież już dawno wszyscy i wy wiecie,
Że w Brazylii rozdaje grunta, łąki, lasy,
Aby naród pamiętał dobre jego czasy.
Słysząc to Hanka, rzekła: „Ha? prawda to, prawda,
Kto papieża nie słucha, na tego grom spada;

Może raczej pojedźmy. Pieniądze już mamy,
Jakoś sobie w Brazylii przecież radę damy.
Papież nas nie opuści. Taż to dobra dusza.
Słyszycie jak go nędza katolików wzrusza?
„Ale nie pojedziemy!“ krzyknął Janek na to,
Mamy wszystko opuścić? Cóż dostaniem za to?
A choćby mi całego świata skarby dano,
One mi nie zastąpią Marylę kochaną.
Jej nie opuszczę nigdy! ani was rodzice,
Zostańmy! Kto wie,... może tam są ludzie dzicy,
Co nas pożrą? Nie jedźmy! dobrze nam tu będzie.
Miejmy w Bogu nadzieję. Z Nim dobrze jest wszędzie“.
„O głupi, głupi Janku!“ rzekł Hipolit na to.
„Gdybyś śledził Marylkę swą przez całe lato,
Byłbyś dziś głupstw nie robił i z nią się nie żenił,
Ja ci szczerze dziś radzę, byś zamiar swój zmienił.
„Już to zmienić nie zmienię!“ odparł Janek żywo,
Klnąc w duchu Hipolita i patrząc nań krzywo.
„Hipolicie!“ — rzekł Wojtek — „jakom miał wyjechać
Dziś w nocy z swą rodziną, — nie mogę zaniechać
Poradzić się sąsiada Bartka poczciwego.
Zaraz jutro my wszyscy pójdziemy do niego!“

„No, dobrze!“ — rzekł Hipolit — „pójdziem jutro z rana.
Dobranoc!“ rzekł do wszystkich. — Wojtek „Bóg wiedź
[Pana!“

* * *

Niedaleki już ranek. Lecz cisza grobowa
Zalega okolice jeszcze dookoła.
Siarczysty mróz, co świtem do szpiku przenika,
Objął w serdeczny uścisk pana Hipolita, —
„Niedobrze!“ mruknął sobie. Mieli w nocy jechać,
Teraz znowu do rana każą mi zaczekać,
Będą radzić się Bartka.... Kto wie co poradzi,
Może podróż „za morze“ stanowczo odradzi....
No!... ale z Bartłomiejem to sprawa nie trudna,
U niego sprawa dobra, jeżeli nie brudna. .
Gdy powiem mu, że papież sam się tem zajmuje,
To tylko wszystkim razem szczęścia powinszuje.
W każdym razie, nie chciałem, ażeby wiedziano,
Że ja ich tam wysyłam, a gdy dzisiaj rano
Pójdziemy słuchać rady Bartka przeklętego,
Może z tego coś wypaść dla mnie niemiłego.
Tak prosiłem o sekret tego Wojtka osła...
Cała sprawa dotychczas tak gładko mi poszła...
Już mieli być dziś w drodze... byłby nikt nie wiedział...
Teraz może i miesiąc będzie Wojtek siedział

I radził się każdego. Muszę tak się sprawić,
Aby ich wszystkich jutro za morze wyprawić.
Tak szepcąc sobie, doszedł do domu swojego,
Gdzie już nie śpiąc, pił wódkę do dnia następnego.

PIEŚŃ III.

Święty Andrzej obrusem białym nakrył ziemię
I spuścił rankiem mannę na śmiertelnych plemię.
Chwytają żaki w czapki lodowate krupki,
Drudzy toczą śnieg w bryły i znoszą je w kupki,
W końcu robią z niej babę, wprawiają jej rogi
I krzyczą: od złej baby.... goń co starczą nogi!
Tam znów gromadka chłopców w śnieżnej walczy wojnie,
Gradem śnieżnych kartaczy częstując się hojnie,
Ówdzie zaś jeden psotnik, chcąc lód wypróbować,
Wpadł w wodę i piskliwie jął ratunku wołać,
A górą lecąc sroka, głośno się zaśmieje
I głośniej śmiech powtórzy, widząc co się dzieje,
Wrony wielkiemi stady lasy opuszczają,
Ciągnąc do miast na śmiecia; gdzie żeru szukają,

Za niemi jeszcze z lasu leci kilka prędko,
To te, co je lud spłoszył w lesie swą gawędką.
Jest w lesie także Wojtek, Bartłomiej i Janek;
Będą drzewo wozili dziś przez cały ranek.
Więc wzięli z sobą wódkę, ser i kawał chleba,
Bo, jak mawiał Bartłomiej, zjeść zawsze coś trzeba;
Zmarzli, więc zanim jeszcze pracy jąć się mogli,
Przez chwilę wszyscy razem grzali się jak mogli.
Wojtek rzucił na ziemię garść słomy — takową
Zapalił potrząsając z radością swą głową.
Buchnął błękitny dymek; przez las szybko bieży,
Wznosi się nagle w górę na wysokość wieży,
Wznosi się jeszcze wyżej, aż w końcu hen w górze
Znikł z oczu, w popielatej zgubiwszy się chmurze.
Za nim język ognisty na słomie wyrasta,
Drga chwileczkę; następnie staje jakby baszta,
Objął wszystką już słomę; ciepłem w górę dmucha,
Aż zgasł i oddał niebu gorącego ducha.
Zostało wężowisko ogniste na ziemi;
Wojtek je obejmuje rękami swojemi,
Ostatki ciepła chwyta w obie swoje garście.
Wszystko to trwało ledwie sekund kilkanaście,
Nie mógł się zatem Wojtek zagrzać przy płomyku,
Jednak oznak radości nie szczędził i krzyku.

Rozwarł gębę jak worek, gdy weń sypią zboże,
Pokazał światu zęby, ostre jako noże,
Ah! jak lokomotywa, sapał i zacierał
Swe ręce i z radością na Bartka spozierał.
Bartek tymczasem z Jankiem w ten sposób się grzali,
Że się po swych ramionach rękami klepali.
Zdało się to, jakby się sami w uścisk brali.
„Tak! tak!“ wykrzyknął Wojtek „jadę w ciepłe kraje!
Tam, gdzie papież majątki darmo chłopom daje“.
„Tylko nie tak gorąco!“ rzekł Bartek poważnie.
„Nad tem trzeba pomyśleć! a nie tak odważnie
Puszczać się w świat daleki. I gdzie? i do kogo?
Czy są tam jacy ludzie, którzy wam pomogą,
Kiedy będziecie cierpieć głód i niedostatek,
Jaki może nie zajrzał tu do naszych chatek.
Wiedziałem jeszcze wczoraj, że tylko dlatego
Janek był tak zmartwiony, że do uszu jego
Doszła już ta umowa, coście z Hipolitem
Zawarli. On z pieniądzmi był u was i z kwitem.
Był u mnie wczoraj także“.
„U mnie wczoraj w nocy.“
Każe jechać! Więc z Bogiem! Wszystko w Jego mocy.
Może tam będzie lepiej... tam wszystko za darmo
Dostaniemy: pastwiska, grunta... tam się garną

Z całego świata ludzie „do Ojca świętego“.
Może wy także Bartku pójdziecie do niego?
Ja nie! bom już za stary... papieża szanuję
I każdą jego wolę święcie wykonuję,
Ale jechać do niego, hen w dalekie kraje,
To nie tak łatwo starym, jak się młodym zdaje.
Wy trochę młodsi; zatem, jeśli papież wzywa,
To jedźcie! Niech wam Pan Bóg z pomocą przybywa
W każdej waszej potrzebie, trwodze, w tej podróży;
Dojedźcie tam i w szczęściu żyjcie jak najdłużej.
A kiedy już tam Ojca świętego spotkacie,
Przyrzeczcie, że go za mnie także przebłagacie,
Żem z wami nie pojechał. — Lecz jeśli to blaga,
Że papież tam was wzywa — nie istnaż to plaga?
Nie zejdziecież na nędzę? . . . .
. . . .
. . . .
. . . .
Ja wam obiecuję,
Że gdy z niczem wrócicie, Maryli daruję
Całe swe gospodarstwo. Umarła mi żona,
Za nią córka utratą swej matki strapiona.
Reszta mojej rodziny od dawna już w grobie,
Więc Maryli swe mienie zostawię po sobie.

A dlaczego to czynię — zaraz się dowiecie:
Jak straszną dla mnie strata żony — córki, wiecie.
Każde słowo pociechy wiele dla mnie znaczy,
Kto bólu tego nie czuł, mało, że zobaczy
Człowieka złamanego w żalu i rozpaczy.
A oto ta Maryla, Janka żona przyszła,
Tak ten ból zrozumiała, że na cmentarz wyszła
W dzień zaduszny i na grób żonie i Kasieńce
Złożyła uplecione z barwinku dwa wieńce.
Marylka! Ona o mych skarbach pamiętała!...
Żona ją, jakby dziecko za życia kochała....
Więc niech dla niej zostanie po mnie moje mienie.
To mówię wam i słowa swego już nie zmienię.
A sądzę, że Jan także zamiaru nie złamie
I mówiąc o żeniączce, z pewnością nie kłamie.
Lecz póki żyć będziemy, będziem w jednej chacie.
Wszak jest dosyć obszerną. Wy ją dobrze znacie.
Janek z swą żoną zajmie w niej jednę połowę.
Wy Wojtku drugą, a ja siwą swoją głowę
Gdzie bądź już sobie złożę. O tam w tym kąciku,
W tym maleńkim za ścianą swoim pokoiku,
Gdzie najmilej przepędzam swe samotne chwile.
Gdzie tyle przemarzyłem, gdzie prześniłem tyle!...

Jankowi oddam zarząd gumna i pasieki,
On, gdy pomrzem, nam starym niech zamknie powieki.
Lecz teraz, kiedy papież chce, byście jechali,
To możeby źle było, gdybyście zostali.
Jedźcie! a gdy się za rok tam już wzbogacicie,
To przecież może swoją ziemią nie wzgardzicie,
Wrócicie za rok z wielkim może już majątkiem,
Może już pogardzicie dawnym swym zakątkiem.
Może sobie rozległe grunta zakupicie
I Marylkę do wielkich bogactw wprowadzicie.
Bo Janek nie zapomni o swojej Maryli,
Choć za morze pojedzie — hen gdzieś do Brazylii.
Więc jedźcie! Ja Marylę jakoś uspokoję,
Chwilowy żal jej jakoś uśmierzę, ukoję,
I modlić się tu za was będę dniem i nocą,
By was Pan Bóg od złego chronił swoją mocą...“
To rzekłszy wybuchł płaczem; Wojtka ucałował
I szczęścia mu na obcej ziemi powinszował.
Potem zabrawszy drzewo każdy na swe sanie,
Pojechali do miasta wszyscy trzej włościanie.
W drodze rzekł Wojtek: Właśnie Bartłomieju drogi,
Mieliśmy z Hipolitem wejść dziś w wasze progi,
Aby rady zasięgnąć, co czynić wypada
I czy wierzyć w to wszystko, co świat opowiada.

„Dobrze, żeście nie przyszli, odrzekł Bartek stary —
„Do chaty mej nie wejdzie ten człowiek bez wiary
Hipolit. Póki życia! póki mi tchu stanie,
Ten brutal na mym progu swą nogą nie stanie.
Ja wam radzę, jak sąsiad: jeźli papież wzywa,
To jedźcie do Brazylii. A jeźli fałszywa
To tylko wieść puszczona o tym złotym świecie,
Wrócicie i przytułek u mnie mieć będziecie.
Z Hipolitem nic zatem nie mam do mówienia!...
Tu nastąpiła chwila długiego milczenia. —
Janek cały czas dumał; a z tego dumania,
To wynikło, że przyszedł wnet do przekonania,
Że lepiej jest pojechać do złotej Brazylii
I wrócić w rok bogatym do swojej Maryli.
Tak powoli do miasta wszyscy przyjechali,
Gdzie Hipolita zaraz na wstępie spotkali.
Wracał już z Nagorzanki; był już w Wojtka chacie.
Teraz zoczywszy wszystkich, krzyknął: „jak się macie!
Chce wam się dziś po drzewo jeździć, kiedy w drogę
Tak daleką już dzisiaj wyprawić was mogę"...
„Na drogę trzeba grosza" — odrzekł Bartek stary.
Dobrze Wojtkowi za to wziąść kilka krajcary,
Że się trochę przejedzie i przywiezie drzewa!
No! ale jakże się też pan Hipolit miewa?...

Nie wiele mam dziś czasu. Więc zostańcie zdrowi,
A co tu uradzicie — to Wojtek mi powie.
Darmo wołał Hipolit w głos za Bartłomiejem,
Co od niego umykał, jakby przed złodziejem,
Bartek się nie odwracał, lecz do miasta jechał,
Gdzie pan adwokat na drwa, które on wiózł, czekał.
Stanął wreszcie przed domem pana mecenasa,
I rzekł słudze, że właśnie przywiózł drzewo z lasa.
Sługa biegnie z nowiną do pana samego,
Który na tylnej części podwórza swojego
Każe drwa złożyć, aby nie łatwo z ulicy
Mogli je spostrzec i skraść czelni ulicznicy.
Czyni to żwawo Bartek i idzie do pana,
Co nad jakimś procesem siedział już od rana.
Niech będzie pochwalony!.. pana adwokata
Tak kochamy tu wszyscy, jakby swego tata;
Kazał nam pan adwokat przywieść drzewa rano...
Jest już! nawet złożone, pod tą tylną bramą.
Wojtek zaraz nadjedzie. Został w mieście z Jankiem,
Wprawdzie miał do Brazylii wyjechać dziś rankiem,
Ale jeszcze dla pana adwokata drzewo
Przywiózł dzisiaj, bo nie chciał ściągać na się gniewu
Tak poczciwego pana...“

„Co wy też mówicie?
Wojtek chce emigrować? a czy o tem wiecie
Co się w Brazylii dzieje? Dajcie pokój temu,
A temu, co go tam ciągnie gapiowi głupiemu,
Powiedzcie, niech sam jedzie, kiedy tam tak świetnie.
Nie wam porzucać kraj swój, — to hańba, to szpetnie!
Gdzie jest Wojtek? gdzie Janek? przyzwijcie ich tutaj.
To pewnie ich zbuntował ten Hipolit hultaj...
Prędko idźcie mi po nich.
Bartek się ukłonił
I swymi konikami za Wojtkiem pogonił.

PIEŚŃ IV.

Ponuro jakoś dzisiaj w domu adwokata!
Nie znajdziesz w nim uśmiechu, choćbyś dał dukata.
Pan mecenas od rana z fajką w ustach chodzi,
Smutni siedzą przy biórkach koncypienci młodzi,
A i w domu też panie w nieświetnym humorze.
Czy dlatego, że dzisiaj pochmurno na dworze?

Czy może mają smutku ważniejsze przyczyny?
Nie wiedzieć! Smutek powstał bez niczyjej winy.
Naraz się drzwi od bióra lekko otwierają,
Wszyscy w biórze siedzący z miejsc swoich powstają,
Weszła postać anielska! i od najmłodszego
Z panów trochę papieru żąda listowego.
Wpatrzony w śliczną postać młodzieniec zmieszany,
Cały nagle szkarłatnym rumieńcem oblany,
Spełnia miłe życzenie i papier podaje.
Postać znika, a jemu jeszcze się wydaje,
Że widzi ją przed sobą i że z nią rozmawia
I jej obecność długo jeszcze w siebie wmawia.
Aż gdy minęła chwila słodkiego złudzenia,
Gdy ujrzał się znów obok swego zatrudnienia,
Duże dwie perły w oczach jego się zalśniły,
I jak groch się przez skronie na ziemię stoczyły.
O! biedny Bolesławie! szepnął sobie z cicha.
Bodajbyś ty był przedtem przepadł gdzie do licha,
Zanim tutaj przyszedłeś i zanim pokochał
Tę kobietę! tak szeptał i jak dziecko szlochał.
Biórko, gdzie siedział, było odgrodzone ścianą
Od innych, — to też płaczu jego nie widziano.
Lecz mecenas coś spostrzegł, że młodzian przepada
Za nadobną córeczką. — Ale trudna rada, —

Myślał sobie — to młodzik — nie ma stanowiska!
Czem będzie kiedyś — mniejsza, dziś zeń dyurnista.
Wprawdzie jest oczytany, — maturę chce zdawać,
Ale aby za niego córkę swą wydawać...
Choćby nawet się dobił czego z czasem w świecie,
Wyglądałoby, jakby poślizgnąć się w lecie,
W dzień pogodny, gdy niema ni lodu, ni błota;
Kto wie zresztą, czy Bolek nie lgnie li do złota,
Może nie Laurę kocha, ale jej pieniądze...
Może nie miłość czysta, lecz chciwości żądze
Tak władają chłopakiem, że niby łzy leje,
Niby kocha, udaje, że za nią szaleje,
A tymczasem o pieniądz jej mu się rozchodzi.
Tacy to dzisiaj wszyscy ci hołysze młodzi.
Zresztą... jest dyurnistą!... a lepiej kamienie
Bić na gościńcu, jak mieć takie zatrudnienie.
Bo chłopu wszystko jedno, jak w kamień uderzy,
Czy z tej, czy z owej strony obuchem weń mierzy,
Byle go rozbił. Inna rzecz z przepisywaniem,
Które jest iście ślepem fotografowaniem.
Pisarz takie pałeczki musi odrysować,
Jakie mu przed nos kładną. On musi malować
Każdą głoskę z osobna i w tym samym szyku,
W jakim jest ustawiona, a głosek bez liku.

Więc kręcąc karkiem, łeb swój tu i owdzie nosi
I literki z papieru na papier przenosi. —
A jaką ma zapłatę... jakie poważanie...
Od jednej i drugiego, zachowaj nas Panie!
U takiego pisarza zimą chłodek w domu,
Jeść nie zawsze jest za co, ale jest jeść komu.
Żona, dzieci, a czasem jeszcze ojciec stary,
Albo matka żyć muszą z tej istnej ofiary,
Jaką pisarz dostaje, — bo przecież zapłatą
Nie można nazwać tego, co nie jest zapłatą.
A jakie poważanie?... jak go tytułują?...
Przez drugą, lub przez trzecią osobę doń mówią.
„Pan“ — rzadko do którego. Zwykle: „Co *on* gada,
Lub: „czego chce *figura?*“ — niech *figura* siada!
A są tacy panowie, do których, gdy przyjdzie
Pisarz z prośbą o miejsce, to albo pies wyjdzie
I głośnem swem szczekaniem zagłuszy pisarza,
A pan się nie odezwie, lecz rad, że się zdarza
Dobra sposobność zbycia pisarza milczeniem,
Wyjdzie prędko z pokoju, lub niepostrzeżenie
Pociągnie za sznur dzwonka, — zaczem lokaj wpada,
I szepnie pisarzowi, że już wyjść wypada.
A czasem pan pisarza przyjmie jeszcze gorzej,
Jeżeli go zastanie pisarz w złym humorze.

Pan odwraca się twarzą do okna lub ściany
I tak mówi do siebie: Co to za gałgany
Łażą mi tu co chwila. Cóż to znów takiego!
Odprawić mi, odprawić prędko draba tego.
A w pokoju nikogo nie ma prócz pisarza,
Który słysząc, jak się pan o nim już wyraża,
Nim go zapytał: „kto on“. — nawet już nie prosi
Pana o miejsce ale prędko się wynosi. —
Nie istneż to żebraki? I słusznie gwiazdami
Na niebie wypisywać tych, co rodzinami
Tych biedaków się troszczą!...
Co do Bolesława,
Jest rzecz inna. Może go nawet czeka sława,
Może kiedyś ojczyźnie pomocnym się stanie,
Może też i ubogim pomóc będzie w stanie.
Jest młodym!... ma zdolności... może kiedy z niego
Będzie miała Ojczyzna i lud co dobrego.
Ale dziś... ani mowy! nie chcę o tem wiedzieć,
Że kocha moją córkę. Muszę jej powiedzieć,
Aby z nim nie mówiła, — unikała jego,
Aby jej nie uczynił wyznania jakiego.
Tak dumał pan mecenas, — człowiek zresztą prawy,
Lecz co do córki zawsze pełen czczej obawy. —

Gdy tak duma i z fajką po pokoju chodzi,
Ktoś zapukał i zaraz zapukawszy wchodzi.
Stary Bartłomiej z Wojtkiem i Janek za nimi,
Weszli i pozdrawiając ukłony niskimi
Mecenasa i panów, którzy w biórze byli,
O obiecaną radę rzecznika prosili.
„Ja poradzić wam mogę to tylko jedynie,
By Wojtek siedział w kraju przy żonie, przy synie,
A nie puszczał się w drogę, nie wiem gdzie i po co,
Jak gawron, coby leciał szukać żeru nocą".
„Ależ ja z żoną, synem, jadę do Brazylii.
Właśnieśmy z Hipolitem tak się ułożyli,
Że on za grunt mi dwieście dał złotych na drogę
I przyrzekł, że zażądać jeszcze więcej mogę".
„Że zażądać możecie, — temu nikt nie przeczy,
Ale czy on da więcej, — to są inne rzeczy.
Kiedy da? przed podróżą?..."
„Pośle do Brazylii".
„No! daj Boże, byście co jeszcze zobaczyli
Od pana Hipolita! — Znam go doskonale!
Skoroście już na jego warunki przystali,
To już z pewnością nigdy nic nie dostaniecie.
On grunt wasz już zabierze. Czy to rozumiecie?

Ja więcej wam nic zgoła poradzić nie mogę,
Jak, byście nie jechali w nieznaną wam drogę.
Hipolitowi oddać jego złotych dwieście
I siedzieć w swoim kraju, w swem rodzinnem mieście.
To mówiąc pan mecenas, wydobył z kieszeni
Pugilares skórzany z pieniądzmi srebrnemi
I płacąc za zwiezione drwa do rąk Wojciecha,
Rzekł: tu wam i w złej chwili wystarczy pociecha,
Że jesteście wśród swoich, w swym kraju rodzinnym.
O bo bez tej pociechy gorzko w kraju innym.
Chociażbyś był zamożnym, miał przyjaciół wiele,
Choćby i rodakami byli przyjaciele,
Nic to wszystko nie znaczy, gdyś nie w swoim kraju,
Nie na swoim zagonie, — nie przy tym ruczaju,
Co ci nieraz tak jakoś milutko zaszumiał,
Jakby cię chciał pocieszyć, jakby cię zrozumiał,
Jeśliś nie na tej łące, od miasta dalekiej,
Skąd brzęcząc pszczoły niosą miód do twej pasieki,
Gdzie jakiś miły spokój, gdzie z błękitu nieba
Tak jakoś po bratersku słońce ci przygrzewa.
A kiedy na obczyźnie o domku swym wspomnisz,
Niejednę łzę tam pewnie w kąciku uronisz. —
Wysłuchawszy to Wojtek, rzekł: Wielmożny Panie!
Że przykro ztąd odjechać, dalibóg nie kłamię

Lecz kiedy Ojciec święty jest już „w Wypychanie“,
I pragnie, by tam polscy przybyli włościanie,
To trudno się sprzeciwić, — trzeba tam pojechać.
Z kraju przecież na zawsze nie myślę uciekać,
Bo jeźli papież zamiast gruntu da pieniądze,
Co też w Brazylii robi, to się tak urządzę,
Że powrócę do kraju, odkupię swą ziemię.
Dokupię co i przecież los swój trochę zmienię.
Któż wam to plótł, że papież mieszka w Wypychanie,
Że chłop, gdy go odwiedzi, pieniądze dostanie.
Są tacy co mówili, a wierzyć im trzeba.
Kto nie wierzy w papieża, nie pójdzie do nieba.
Ależ w Papieża wierzcie, lecz w taką głupotę,
Że mieszka w Wypychanie, że obrzuca złotem
Polskich chłopów u siebie, śmieszna to rzecz wierzyć,
Głupota taka musi każdego uderzyć.
W jakim to „Wypychanie?“ W Watykanie może!
Tak się pałac papieża nazywa nieboże.
I jest w Rzymie, we Włoszech, ale nie w Brazylii,
O Wypychanie głupcy jacyś ci mówili.
Nareszcie papież nie zna języka polskiego,
Jakżeż więc polscy chłopi mówią tam do niego?“
„O! to już pan mecenas sobie zażartował,
Żeby papież, katolik, co się hedukował,

Nie znał katolickiego języka naszego?...
My będziemy po polsku mówili do niego.
Papież, wielki katolik nad katolikami,
Nie umiałby pomówić nawet z Polakami?
To już nieprawda! wiemy, jak mamy z nim gadać,
On nam grunta w Brazylii, lub pieniądze ma dać.
Tak mu Pan Bóg nakazał, — bo kiedy w Brazylii
Umarł król, to to państwo księża zakupili
I dali papieżowi. Papież przez trzy noce
I trzy dni nie jadł, nie pił, lecz wzywał pomocy
Pana Boga, modląc się za nasz lud znękany,
Aż usłyszał głos z nieba: „Papieżu kochany,
Masz ten kraj dać Polakom i pieniędzy wiele,
Bo ten tylko mię naród czci w domu, w kościele
I wszędzie, więc polepszyć jego dolę trzeba,
A po śmierci najwięcej z nich pójdzie do nieba.
Ja w to wierzę!... to mówiąc z domu mecenasa
Wyszedł i z synem, Bartkiem jechał znów do lasa. —
Bartłomiej, lubo człowiek stary, doświadczony,
I dość rozsądny, nie był jednakże uczony.
Nic więc nie mógł powiedzieć o tym Wypychanie,
W którym papież w Brazylii miał swoje mieszkanie.
Nie wiedział też, czy papież po polsku rozumie,
Lecz wiedział, że po polsku nie każdy Włoch umie,

Bo był we Włoszech jako żołnierz austryacki.
(Nie był tam jakoś więcej żaden chłop buczacki).
Więc za najmądrzejszego uchodząc, — przez chwilę
Wahał się, co Wojtkowi mówić o Brazylii.
Nie chciał powiedzieć głupstwa, a siebie niepewny,
Bał się w tej kwestyi mówić, więc milczał i gniewny
Klął w duchu Hipolita i złe jego plany,
Przyznając sobie, że jest nieco zacofany,
Widział zresztą, że Wojtek chłodno rzecz traktuje,
Że podróż do Brazylii bagatelizuje,
Skoro jedzie po drzewo w dzień swojej podróży,
Więc sądził, że ta sprawa pociągnie się dłużej.
A więc nic już nie mówił; czekał sposobności,
Kiedy Wojtek wieczorem go w domu zagości.
Inaczej jednak z Wojtkiem ta sprawa się miała.
On wtedy nie chciał jechać, gdy żona się bała
Odjeżdżać w świat daleki, lecz dziś gdy Wojtkowa
Na kraj świata pojechać była już gotowa,
Byle widzieć papieża i pieniądze dostać,
Wojtek w kraju już więcej nie myślał pozostać.
Lecz jechać jak najprędzej. I właśnie w tej chwili,
Kiedy mecenas z Bartkiem o Wojtku mówili,
On już Hipolitowi swoje konie sprzedał.
(Lecz Hipolit mu całej ceny za nie nie dał,

Dał mu mniejszą połowę; resztę do Brazylii,
Miał odesłać, lub złożyć u ojca Maryli,
W razie, gdyby Wojtkowi tam się dobrze działo
I powracać do kraju już się mu nie chciało.
Za pieniądze te mieli rodzice Maryli
Z nią razem też pojechać do świętej Brazylii.
Hipolit miał im oddać, to co pozostanie
Z sprzedaży gruntu Wojtka, gdy pieniądz dostanie
I ściągnie swą pretensyę).
Wojtuś więc już w matni
Hipolita! Do lasu jedzie raz ostatni.
Ostatniego guldena końmi chce zarobić,
Jutro nimi Hipolit zacznie „*geszeft*“ robić.
Toż kiedy w las wjechali wszyscy trzej włościanie,
Wojtek w śnieg bicz wetknąwszy, rzekł do syna: „Janie!
Musimy naszą sprawę zalać! Daj mohorycz,
Niech zniknie choć na chwilę od nas wszelka gorycz!“
To mówiąc, chwyta flaszkę od syna i pije
Wódkę do Bartłomieja: „Niech nam sąsiad żyje!“
Wypiwszy po kolei, każdy kawał sera
Je milcząco i każdy z pod oka spoziera
Na drugiego, jak gdyby każdy miał mniemanie,
Że zaraz tu ktoś zacznie swe opowiadanie.

Janek czekał na ojca, ojciec znów na Bartka,
Bartek na nich obydwóch, — aż wtem jakaś kartka
Wypadła Wojciechowi z zanadrza do śniegu.
I gnana wiatrem, śnieżne warstwy chwyta w biegu,
Aż nie mogąc już unieść ciężaru zbytniego
Spoczęła pod krzakami jałowca leśnego.
Podniósł ją żwawo Bartek i czytać zaczyna,
Patrząc czasem na Wojtka, lub na jego syna.
A więc wszystko skończone! rzekł wreszcie, Wojciechu!
Wy mię dziś pobudzacie do łez i do śmiechu.
Tak jakoś po głupiemu już wszystkiem rządzicie,
Że was już nie rozumiem. Niby się radzicie
A najważniejsze rzeczy robicie mi skrycie,
Zresztą, jakby narwaniec mi się przedstawiacie.
Tu o syna weselu coś opowiadacie,
Za chwilę o wyjeździe gdzieś het do Brazylii,
A jeśli mię pamięć na starość nie myli,
Mówię, że coś słyszałem o tym sławnym kraju.
To wszystko ma być kłamstwo, co tam ludzie bają,
Lecz kiedy już Hipolit mówi o papieżu:
W którego ja i wszyscy katolicy wierzą,
Nie będę już nic mówił; nie chcę zadać kłamu,
Temu, co tu na ziemi pierwszym jest po Panu.

Być może, że On wzywa, że ma tam swe państwo,
Więc jedźcie i przyjmijcie to jego poddaństwo.
Lecz w każdym razie pośpiech, roztargnienie wasze,
Z jakiem chcecie opuszczać polskie kraje nasze,
Co chwila inne plany, dorywcze działanie,
Jakieś nagłe całego mienia rozsprzedanie,
Sprzedaż koni tak nagła i wszystkiego prawie...
Nie wiem, czy widzę we śnie, czy iście na jawie.
Wojtek Bartłomiejowi nic nie odpowiedział;
Janek tylko, co począć ze sobą nie wiedział. —

PIEŚŃ V.

Ciemno w chacie Szymona, choć jeszcze nie późno,
Ledwie trzecia godzina. Lecz że dzisiaj mroźno
I śnieżne chmury niebo zaległy gromadnie,
Przez małe okna chatki ledwie tyle wpadnie
Światła do tejże wnętrza, że tylko postacie
Można jeszcze rozróżnić w téj ubogiej chacie.
Szymon — człek w sile wieku, lecz bardzo ubogi;
Majątek jego: ogród i domek chędogi.

Tylko z pracy rąk żyje z żoną i córeczką
Marylą, najpiękniejszą w całej wsi dzieweczką.
Jakoś wcześnie dziś wrócił, z pracy do swej chatki.
I usiadł obok żony; córka obok matki.
Gdy tak we trójkę siedzą, stanął Janek w progu,
Niespodzianie nadszedłszy i rzekł: „Sława Bogu“.
„Na wieki!“ odrzekł Szymon. Oj złe wam nowiny
Przynoszę drogi Ojcze Szymonie jedyny.
Wiem, wiem już o co chodzi; rzekł Szymon spokojnie
Jedziecie, by Was papież obdarował hojnie.
Nic nie mam przeciw temu, jedźcie do Brazylii;
Tylko ja tam Wam niedam wziąść mojej Maryli.
Ojcze! rzekł gorzko Janek, jako Bóg na niebie,
Że bez granic ją kocham, a Was jako siebie,
Że wolałbym tu umrzeć, jak iść w obce kraje;
Bez Was i bez Maryli; jakoś mi się zdaje,
Że bez Was żyć nie zdołam, tak Was pokochałem,
Tak szczerze pokochałem, całą duszą ciałem....
Jednak żywię nadzieję, że się obaczymy;
W krótce, bo niezadługo z Brazylii wrócimy.
Albo też, co być może, Wy tam pojedziecie
I tak się tam z nami w Brazylii zdybiecie.
O! ja tam nie pojadę, nie stać mię na drogę
Tak daleką i z niczem ja jechać nie mogę....

Właśnie Hipolit z ojcem tak się umówili,
Że gdy nam będzie dobrze się wiodło w Brazylii,
Napiszemy list po Was i Wy pojedziecie.
Pieniądz od Hipolita na drogę weźmiecie.
A jeśli nam źle będzie, to tutaj wrócimy,
Lecz teraz niezadługo już się rozłączymy.
Ha! dziej się wola Boża. Jedźcie teraz z Bogiem!
Niech on Wam pomaga walczyć z każdym wrogiem.
Marylo! żegnaj Janka — On może powróci,
A choć nie wróci, pewnie Ciebie nie porzuci.
Pojedziem tam do niego, gdy mu dobrze będzie,
On kochać Ciebie będzie szczerze, zawsze wszędzie!
Janku! jeśli mię kochasz — to niczem ta droga,
W którą się puszczasz, z Tobą pójdę ja nieboga.
I tak nie jestem w stanie tyle zapracować,
Aby rodziców w nędzy ich istnej zachować,
Jestem może ciężarem im w ich ciężkiej doli,
Czuję to; to me serce rozrywa i boli.
Gdybym była mężczyzną, to siekierą młotem,
Zarobiłabym więcej, — a tak z krwawym potem
Na czole tylko tyle dziennie zapracuję,
Że za ten grosz nam matuś wieczerzę zgotuje;
My pól swoich nie mamy, kupić wszystko trzeba,
W domu nieraz nie mamy ni kawałka chleba.

Janku! Ty mię zabierzesz! Ślub nasz niedaleko,
Pojedziesz już z swą żoną w tą drogę daleką.
Marylko! Nie wiem jaka droga i co czeka
Nas w Brazylii. Więc zostań. Czas prędko ucieka.
Za miesiąc albo Wy tam, lub my tu wrócimy!
Marylo! My za miesiąc znów się obaczymy.
Może właśnie za miesiąc los nasz się odmieni,
Może będziem bogaci, tam w tej świętej ziemi,
Więc jadę do papieża. Wy za mną Szymonie,
Podajmy sobie wszyscy bratnie swoje dłonie,
Że się już nie opuścim, w szczęściu czy w złej doli,
W rozkoszy, bogactwach, a nawet w niewoli.
Niech Cię Pan Bóg prowadzi, rzekł Szymon wzruszony;
A kiedy już przybędziecie przed papieskie trony
I on Was błogosławiąc, obdaruje hojnie,
Dajcie znać, bym za Wami mógł jechać spokojnie.
Zaległa chatkę cisza na chwilę grobowa,
Wszyscy byli wzruszeni, łkała Szymonowa.
A jęk jej wśród tej ciszy i ciche jej łkania,
Piętnowały żałobą, tę chwilę rozstania.
Janek objął Marylę i tulił do siebie,
I tak niewinny słodki, jak aniołów w niebie
Pocałunek serdeczny, złożył na jej lice,
Ona zarumienione ukryła oblicze

W obydwie swoje dłonie; lecz pełną urody
Twarz jej widać wśród palców, jak w liściach jagody.
Bądź zdrowa! jutro jedziem; wyrzekł Janek w końcu.
Żyw tyle uczuć dla mnie, ile ciepła w słońcu;
Bo najszczęśliwszym mogę być tylko przy Tobie,
Ciebie wiernie chcę kochać, w życiu mem i w grobie.
Wrócę w krótce do Ciebie, lub przyjedziesz do mnie,
Więc żegnaj mię Marylo i pamiętaj o mnie,
Ach! jeżeli już taką ma być wola Boga,
Jedź, pomyślność miej wszędzie, gdzie tylko Twa noga
Wyciśnie swoje ślady. Ja czekać Cię będę
Lub jeśli nas zawezwiesz, do Ciebie przybędę.
Nie chcąc płaczem wybuchnąć — pożegnał się Janek
Raz jeszcze ze wszystkimi, i wyszedł przez ganek.
Długo jeszcze milczenie trwa w chacie Szymona;
Aż Maryla odjazdem kochanka wzruszona,
Taką pieśń zanuciła cała zrozpaczona:
Potężny Władco świata, Ty który losami
Całego świata rządzisz, miej litość nad nami.
Twojej litości żebrzem, litości o Panie!
Ach bo bez tej litości, cóż się z nami stanie?
Zabrałeś nam ojczyznę, oddałeś w niewolę,
Przyjęliśmy, nie bluźniąc, Twoję świętą wolę.

Lecz dziś, kiedy o Panie! tak nas opuściłeś
I tak straszliwe plagi na nas dopuściłeś,
Że już się wyrzec musim, tej ziemi zalanej
Strumieniami krwi dziadów w tych wojnach przelanej,
W których o Twoją chwałę chodziło jedynie,
A w których hasłem była myśl o Twoim Synie,
A wyrzec się dlatego, mamy dziś tej ziemi,
Bo nad miarę jesteśmy już w niej uciśnieni,
Racz — o Panie — usłyszeć to nasze błaganie:
Litości! o litości! ulituj się Panie!
My niegdyś na tej ziemi gościli aniołów,
Te drogie Tobie istoty u Piastowych stołów,
Tyś prawie rzekł, że nigdy nie będzie zbywało
Na chlebie synom Piasta, dziś patrz co się stało!
Chleb piastowy zabrali innowiercze pany,
A my jedziem go szukać — hen za oceany.
Więc Ojcze Nasz Przedwieczny, który jesteś w Niebie,
Niech nam nigdy nie zbywa na powszednim chlebie,
Odpuszczaj nam łaskawie wszystkie nasze winy
I prowadź do szczęściem kwitnącej krainy.

PIEŚŃ VI.

Modlą się wszystkie dzwony w sofijskim soborze,
Modlitwą, jakiej język wysłowić nie może.
Największy z nich chwiejąc się, na niebo spoziera
I żałośnie ku niemu usta swe rozwiera,
Płacze nad zgonem Rusi i na wszystkie strony,
Sercem swem śle modlitwę „pod Twoją obronę“.
Przestał dzwonić!... po chwili klnie głośno Rusinów,
Tych co noszą na pozór Imię Rusi synów,
A łączą się niestety z Ojczyzny wrogami,
Chcąc żyć w wiecznej niezgodzie z braćmi Polakami.
Klnie tych, co się wyparli Polski pokrewieństwa,
Ubrawszy jej historyą w same bezeceństwa,
Chce ich zagłuszyć, ale już dzwonić ustaje,
A mniejszego, lecz cichszy głos słyszeć się daje.
Ten, lubo poprzednika głos z cicha powtarza,
Lecz się i na niektórych polaków uskarża,
Dźwięcząc, że gdyby zgody z Rusinami chcieli,
Od niepamiętnych czasów byliby ją mieli. —
Ozwały się kolejno małych dzwonków głosy,
Każdy w tej sprawie jakąś skargę słał w niebiosy,

Aż wreszcie wszystkie razem w jeden ton się zbiły
I hymn zgody Rusinów z Polską zadzwoniły.
Wiatr chciwie go porwawszy, tchnął silniej oddechem,
Chcąc zagrać aż nad Wisłą hymnu tego echem.
Ucichły wreszcie dzwony! lud tłumnie się zbiera
I ciekawie na cerkiew sofijską spoziera;
Dziś Boże Narodzenie. Więc choć w cerkwi szyzma,
Umie lud uczcić święto, co każdy mu przyzna.
Tłum wzmaga się co chwila, — jest w nim też i świta,
Bo będzie celebrował sam archimandryta.
Widać też w tłumie postać jakiegoś młodziana,
Który w starym Kijowie bawi od dziś rana.
Wszedł do cerkwi; lecz widać, że jest obojętnym
Na wszystko, co się dzieje i okiem niechętnem
Ogląda złote stroje moskiewskich kapłanów
I odświętne, bogate, stroje ruskich panów.
Nie zajęły go chóry cerkiewnych śpiewaków,
Jakich w swoich kościołach nie ma stary Kraków,
Ni wspaniałość świątyni, ni też twarzy wiele,
Modlił się tam tak samo, jak w swoim kościele.
Boże! modlił się młodzian, — Laurę pokochałem,
Tak szczerze, tak serdecznie, całą duszą ciałem,
Tylem uczuć niewinnych żywił dla niej w duszy,
Ach, jakże wiele teraz za to cierpieć muszę.

Za to, że jej niewinne zrobiłem wyznanie,
Sam się skazałem na ciężkie wygnanie.
Było to nie na czasie; — ale już się stało!
Miłość ma dość odwagi, a rozwagi mało.
Powiedziałem, że kocham. Ona z dumą hardą
Wydrwiła mię i wielką obdarzyła wzgardą,
Z bióra jej ojca odejść natychmiast musiałem,
W którem na chleb codzienny sobie zarabiałem,
Kończąc przy tem swe studya. Cóż mam począć teraz?...
Niedostatek mi pewnie da się uczuć nieraz;
Krewni cierpko przyjmują, lubo są zamożni,
Tych tylko dobrze widzą, którzy są wielmożni.
Ale po chleb do krewnych ubodzy nie chodźcie,
Bo zanim wam go dadzą, wpierw zmaczają w occie.
A często, choćbyś nawet cały łzami zlany
Chciał przyjąć ten kęs chleba, żółcią zaprawiany,
Odmówią Ci go właśnie w najcięższej Twej chwili
I w dodatku z nieszczęścia Twego będą drwili,
Cieszyć się z Twej niedoli, tej, której sprawcami
Niejednokrotnie byli może sami.
Bo często się tak dzieje, że gdy biedak szuka
Zatrudnienia i za niem od drzwi do drzwi puka,
Krewny przed tym człowiekiem, co chciałby dać chleba
Owemu biedakowi, rzeknie: „dajcie nieba,

4*

Aby z niego co było, ale ja za niego
Nie ręczę, przy tem wątpię, aby co dobrego
Z niego jeszcze być mogło“. — I tak biedny człowiek,
Z winy rodziny, nieraz do zawarcia powiek
Cierpi głód, niedostatek, bo ktoś mu z familii
Poszkodził w osiągnięciu chleba, w ważnej chwili,
Kiedy się informował chętny chlebodawca
U niego. Że tak było, widział nieraz Zbawca.
Toż i niejednokrotnie świadkiem były nieba,
Że do krewnych list z prośbą pisać było trzeba,
Aby — na miłość boską — nic nie pomagali,
Byle szkodzić nie chcieli, byle pokój dali.
Niemiłosiernym plotkom, którymi chcąc pokryć
Swe brutalstwo, musieli swoich hańbą okryć.
A i tak nieraz bywa, że majętny krewny
Plan drwin sobie ułoży i gdy swego pewny,
Posyła po biednego krewnego swojego,
Mówiąc, że już wyszukał dobry chleb dla niego,
I daje chleb u siebie. Wzywa go do stołu,
Gdzie najęci szydercy siedzą z nim pospołu
I tam biedaka „na bas brać“ rozpoczynają
Drwią sobie z niego w oczy, sto pociech z nim mają,
Aż w końcu zmuszą takiem swojem zachowaniem
I tak bezczelnie podłem swem postępowaniem,

Biedaka do ucieczki z pod dachu krewnego,
A jeśli trafią czasem też na wytrawnego,
Co sobie nic nie robi z tego, co tam mruczą,
To się nań pogniewają i z domu wyrzucą.
Tak więc krewnego tydzień u siebie trzymają,
Jedynie dla zabawki, a potem gadają:
„Przecież on był już u nas, myśmy się starali,
Myśmy mu nawet miejsce u siebie dawali,
Lecz to ladaco; tydzień tu u nas posiedział,
I uciekł. No, widzicie! bo ktośby powiedział,
Że my się nie starali o niego zupełnie
A lepiej mu jak u nas nie będzie już pewnie.
Tak robią mądrzy krewni „bici“ i przebiegli
W tego rodzaju sprawach aż zanadto biegli.
Bo sprawa taka zawsze tem się skończyć musi,
Że ten kęs chleba, który do kpin dać się musi,
Jest już ostatnim w życiu, — a w domu, gdzie chleba
Podostatkiem, to nawet wspominać nie trzeba,
Że mało co kosztuje. Więc za kilka groszy
Mieli komedyą w domu i mogą rzec „proszę“...
Każdy widział, że chciałem ratować krewnego,
Lecz przekonaliście się, że on nie wart tego.
A są też tacy krewni, co nie chcąc pomagać,
A chcąc całemu światu czelnie opowiadać,

Że wspierają swych krewnych, umyślnie poszkodzą
Im w osiągnięciu chleba i potem dowodzą,
Że mają krewnych takich, dla których robili
Co tylko mogli, na nich pieniądze łożyli,
Lecz wszystko na nic, bowiem z nich już nic nie będzie,
Są znani i im miejsca odmawiają wszędzie.
Takimi gadaniami krewny się zasłania
Przed ludźmi zawsze wtedy, gdy pomóc się wzbrania.
Więc cóż ja teraz pocznę wśród takiego świata,
W którymby zamordował dzisiaj już brat brata
I do kogo się udam. Boże! Ty mię wspomóż,
Ty mi studya dokończyć łaskawie dopomóż,
Prowadź mię do takiego stanowiska w świecie,
Na którem będąc, mógłbym rzec owej kobiecie,
Którą tak bezgranicznie, szczerze pokochałem,
Patrz, o głodzie i chłodzie ja się dobijałem
Tego kawałka chleba. Mam go dzisiaj wiele,
Jeśli dziś mną nie wzgardzisz, z Tobą go podzielę.
Tak modląc się, rozmyślał Bolesław i długo
Dumał jeszcze, aż mu się łzy polały strugą.
I cały załzawiony wyszedł z cerkwi żwawo,
Lecz nieco pocieszony, śmiejąc się gorzkawo,
Rzekł sam do siebie: „przecież wuj mi dopomoże“
A Ty mię nie opuścisz także wielki Boże.

I ku domowi wuja prędziutko pospieszył,
Lecz tam dopiero poznał, jak próżno się cieszył.
Pomocy nie otrzymał, której się spodziewał;
Wuj wszystkie jego prośby, wyszydzał, wyśmiewał,
W końcu zbywszy go niczem, dalej w świat wyprawił
I przy nim rzekł do żony, że mu przykrość sprawił
Bolesław swą wizytą. Więc z wielkim pośpiechem
Opuścił Bolek krewnych, zagłuszony śmiechem
I szyderstwami wuja i szanownych gości,
Którzy się także z wujem śmiali do sytości. —
Wujaszek bowiem bardzo lubiał spraszać takich,
Którzy się śmiać lubieli z fraszek byle jakich.
A chcąc uchodzić u nich za człeka mądrego,
Dobrze wychowanego, bardzo dowcipnego,
Gadał o różnych rzeczach, a wszystko tak kończył,
Że w końcu coś o takcie, albo dowcip wtrącił,
Zaczem goście basując jemu, podziwiali
Jego mądrość, lub dowcip śmiechem nagradzali.
Sowicie nieraz płacił pan wuj za te hołdy,
Bo pułki pieczeniarzy miały stałe żołdy
W pieniądzach i w naturze za swe basowanie;
Lecz się mieli na każde stawić zawołanie.
Jeden z tych pieczeniarzy, choć był goły, bosy,
Lecz, że wuja przymioty wielbił pod niebiosy,

Dostał dobrą posadę z protekcyi wujaszka,
Nawet odzież, bo hołysz był słowem i basta.

PIEŚŃ VII.

Szaleje wielka burza i wiatr śniegiem kurzy.
Wraca Bolek do kraju. Chce by jak najdłużej
Ta jego podróż trwała i gdyby w tej chwili
Jechać mu w nieskończoność z nieba pozwolili,
Byłby chętnie się wyrzekł najlepszej przyszłości,
Byłby może się wyrzekł wiecznej szczęśliwości,
By przynajmniej miał tyle, co w drodze spokoju,
Bo czuł, że go bój czeka, a do tego boju
Będzie miał sił za mało, że w nim upaść musi,
Że silnego ma wroga, co go zdepce, zdusi.
A on pragnął spokoju; nie chciał z wrogiem wojny,
I byłby niebo oddał za żywot spokojny.
Szalony! snać zapomniał całkiem o tej dobie,
Że pokój człek mieć może, aż gdy spocznie w grobie.
Ze spojrzeniem bezdusznem, w kurzawę wpatrzony
Jedzie biedny Bolesław cały zrozpaczony.

Cóż dalej pocznę? myślał; krewni odepchnęli,
Nie pomogli mi, jeszcze wykpili, wyśmieli,
W kraju na mnie z posadą żadną nikt nie czeka;
Stamtąd już do Brazylii, kto może ucieka.
Trudno o kawał chleba dziś już tam każdemu,
Biada włościanom, majstrom, kupcom, uczonemu
I nie dziw, bo ze wszystkich stron powydalani
Szukają chleba między Galicyaninami.
Galicya nawet swoich wyżywić nie zdoła,
Tak już od kilkunastu lat biedna i goła,
A gdy w dodatku tyle wygnańców przybyło,
Nie dziw, że i dla swoich już chleba ubyło.
A nawet trudno przeciw temu występować,
Bo biednego wygnańca trzeba poratować,
Zwłaszcza, że to nasz rodak, po największej części,
Co skurczone od zimna rozcierając pięści,
Kłania się nisko, żebrząc u swoich pomocy,
Odmówić mu, to chyba już nie w ludzkiej mocy.
W dodatku tłumy żydów, skądbądź wydalone
Osiadają w Galicyi. Chyba obliczone
Te wydalania na to, aby ją osłabić,
Aby ją już zupełnie materyalnie zabić.
Więc do kogóż się udam w tym ubogim kraju?
Dziś tam wielkich protekcyi wszędzie wymagają,

Ja jej nie mam zupełnie, więc kawałka chleba
Bardzo długo w Galicyi szukać będzie trzeba.
Został wprawdzie po ojcu mały mająteczek,
Trochę grosza, ogródek i schludny domeczek,
Lecz co dostanę z tego, niechaj nikt nie pyta
To w ręce opiekuna, pana Hipolita.
On rządzi tym majątkiem, a nic mi nie daje
I rachunków z swych rządów nikomu nie zdaje.
A terazby mi grosza choćby tyle trzeba,
Abym ucząc się, mógł mieć choć mały kęs chleba.
Lecz nie dadzą sierocie!...
Gdy rodzice zmarli,
Wpadli jacyś rabusie, rozkradli, rozdarli
Wszystko co było w domu. (Był Hipolit przy tem;
I on z rabunku tego wyszedł także sytym).
Wszystkie meble z mieszkania i domowe sprzęty,
Wszystkie kwiaty, figury i obrazy święte,
Bibliotekę, pamiątki sekretnie schowane,
Wszystko, ach wszystko było przez nich zrabowane.
Nawet i te dukaty z Matką Boską, które
Ojciec, gdy byłem małym podnosił do góry,
Mówiąc, gdy będziesz takim, ot takim wysokim,
I zajmiesz stanowisko w tym świecie szerokim,

Staraj się, byś dukaty miał też takie same,
I wspieraj nimi biednych synu mój kochany,
I te dukaty znikły przy owym napadzie;
Ja tylko w rozrzuconych papierach w nieładzie,
Znalazłem obraz Matki Boskiej Bolejącej,
Z złożonymi rękami, rzewliwie płaczącej,
Na którym ojciec imię i nazwisko moje
Wypisał i dopisał stanowisko moje,
Na którem chciał mię widzieć w dalekiej przyszłości,
Nie wiedząc, jak jest gorzkiem w świecie pełnym złości.
Podniósłem wówczas obraz ten sponiewierany,
I patrząc na łzy Matki, sam łzami zalany,
Ze czcią ucałowałem złote jego brzegi,
Podpatrzyli to słudzy, co przyszli, jak szpiegi,
Bojaźliwie wpatrując się w moje oblicze
I jakieś gesty sobie czyniąc tajemnicze,
Spytali mię nareszcie, czy wiem, co się stało,
Co w mej nieobecności w domu tym się działo.
Nic im na to nie byłem odpowiedzieć w stanie.
Stary usługacz tylko z płaczem rzekł: „o Panie!
Paniczu mój! Ty nie masz tutaj nic już swego
I nie ma tu już miejsca dla Jana starego.
Idę stąd! już minęły owe szczęsne lata,
Które spędziłem w służbie u waszego tata,

Kiedy to nieraz przyszedł panicz, jeszcze mały,
I wciskając mi gwałtem w rękę pieniądz biały,
Powiadał do mnie zawsze: „weźcie to mój Janie,
Boleś drugi grosz taki od tata dostanie.
Ach! to już przeminęło! ja stary, sterany,
Do pracy już nie zdolny i sponiewierany
Idę szukać przytułku. Lecz za owe grosze,
Co panicz dawał nieraz, u Boga wyproszę,
Że Bóg Cię nie opuści nigdy, dobry Panie!
Chciej kiedy wspomnąć sobie i o starym Janie!...
I odszedł stary sługa w żalu i rozpaczy,
Widziałem go, jak później wiódł żywot żebraczy.
A ja! osierocony, bez żadnej opieki,
Nieraz w życiu łzę gorzką otarłem z powieki
Walcząc o chleb już dzieckiem, chociaż było za co
Mieć go dość, ja musiałem nabywać go pracą,
I tylko wolne chwile poświęcić nauce,
Bo pan Hipolit biegły w każdej brudnej sztuce,
Tylko w ostateczności coś czasem udzielił,
Bo się niechętnie ze mną dochodami dzielił.
Pragnął zawsze mieć wszystko, —
Żalić się ni sposób
Na Hipolita w sądzie. Miał tam kilka osób,

Które na jego brudy przez palce patrzyły,
I gdy się jego sprawki przed sądem wykryły,
Tak jakoś sprawą zawsze pomanewrowali,
Że skrzywdzonym, słuszności nigdy nie przyznali.
Bo był tam w sądzie jakiś radca hołdów żądny,
O którym powiadano, że „*sobie porządny*“. —
Ów więc koniecznie pragnął poselskiego krzesła;
A że Hipolit umiał, jak wszędy wieść niesła,
Agitować wybornie, bo znał się z chłopami
I ująć ich potrafił pięknemi słówkami,
Więc pan radca o względy Hipolita dbając,
Na swoje stanowisko nawet nie zważając,
Wchodził w dom Hipolita, w twarz się z nim całował,
A w sądzie zawsze bronił i faworyzował. —
Więc gdzież się teraz udam, — kiedy słuszność w świecie
Obrzydliwa przedajność w swoich szponach gniecie.
Tak dumając Bolesław jechał w dal wpatrzony,
W te ukraińskie stepy w koło rozciągnione,
Co od okien wagonu jakby uciekały
I nazad do Kijowa żwawo powracały,
A nagie na nich drzewa swymi konarami,
Wzniesionymi ku niebu, jak gdyby rękami,
Zdały mu się do Stwórcy zanosić błaganie
O pociechę dla niego i o zmiłowanie.

Oddech lokomotywy szybki i miarowy,
I jednostajny łoskot kół, co tor kolejowy
Przejeżdżały z muzyką jakąś na pół dziką,
Sprawiały senność; zatem Bolek siadł w kąciku
I oparłszy swą głowę o poduszkę małą,
Usnął wreszcie znużony tą podróżą całą.

PIEŚŃ VII.

W ogrodach wianki z szronu szczyty drzew okryły.
Tu i ówdzie uwisły lodowate bryły
Pod gałęziami. To śnieg, topiąc się na słońcu,
Uciekał z drzew na ziemię w kroplach, aż go w końcu
Zatrzymał mróz i karząc go za tą ucieczkę,
Powiesił na gałęzi, jak żyd w kramie świeczkę.
A gałązki świątecznie dziś wszystkie ubrane,
Wianki mają panienki, czepce starsze damy
I rumieniec krasiwy od porannej zorzy
Przyjęły wdzięcznie damy i panienki hoże
I zalotnie wpatrują się w wschodzące słońce,
Co ledwie zazłociło górne zorzy końce.

Oczarowany Eol wspaniałym orszakiem,
Panien i pań zebranych w pięknym stroju takim,
Ni stąd ni zowąd przygnał gdzieś aż z końca świata
I już ledziutko między panienkami lata.
Kłania się i wzajemnie ukłony odbiera
Na piękniejsze i młodsze milutko spoziera,
Zbliża się do nich śmiele, prosi z sobą w tany
I w tan porywa z sobą także starsze damy.
Rozochocony nieco. — Lecz wreszcie niegrzecznie,
Chcąc jednej panny warkocz zobaczyć koniecznie,
Zerwał jej wieniec z głowy. Więc Panie Eola
Odepchnąwszy od siebie wyprawiły w pola.
Cicho siedział ze wstydem gdzieś w kącie, lecz w chwilę
Znów przychodzi z wachlarzem, kłaniając się mile
Przeprasza obrażoną, a zirytowane
Na ochłodę wachlarzem częstuje i w tany
Nowe z sobą porywa panie i panienki,
Lecz tańczyć źle umiejąc, rozdziera sukienki,
Strąca z główek danserek wianuszki i czepce
I każdej z nich sekretnie do ucha coś szepce,
W końcu głośno zaszumiał. W dziki tan porywa
Wszystkie panie i panny; wszystkim z głowy zrywa
Czepce i wianki; suknie drze w kawałki drobne,
Tak iż panny i panie, przed chwilą nadobne,

Oszpeciwszy, pogonił znowu gdzieś na chwilę
Jakby się bał pań zemsty, którym psoty tyle
Zrobił niegrzecznie. Teraz posmutniałe panie
Budzą kształtem nie podziw, lecz politowanie.
Kibić sucha, twarz w zmarszczkach, półzwiędłe ramiona,
Na które siada stara i ochrypła wrona,
I temi słowy prawdy długo, długo kracze:
Raz stracone pań wdzięki: „Requiescant in pace“.
Słyszy to: „Requiem“ ludek, co rojnie ulice
Zaległ dziś. Dużo gości mają Wadowice.
Widać też między tłumem Hankę, Wojtka, Jana,
Co się po mieście włóczą już od wczoraj rana.
A chodźmy! mówił Wojtek, pisać po Szymona!
Maryla będzie listem bardzo ucieszona.
Piszmy! I napisali gdzieś w jakiejś gospodzie,
By Szymek już nie siedział o głodzie i chłodzie
W kraju, lecz aby zaraz w podróż się wybierał
I żonę swoją z córką Marylą zabierał. —
Jakoż w kilka dni Szymon z rodziną swą całą,
Sprzedawszy swój ogródek i chałupkę małą,
Przyjechał do Wadowic. Z Wojtkiem się przywitał
I jeden się drugiego na przemiany pytał,
Wojtek Szymka: co zrobił z domem po rodzicach,
Szymek Wojtka: co zrobi teraz w Wadowicach.

I tak się najpierw Wojtek od Szymka dowiedział,
Że dom kupił Hipolit; poczem opowiedział
Szymkowi, że w tem mieście są jacyś panowie,
A między nimi nawet także urzędowi,
Którzy mają odsyłać do papieża naród,
Powiadają, że jedzie tam po milion na rok.
A żaden już nie wraca do rodzinnej chaty,
Bo tam już jest szczęśliwy i bardzo bogaty,
Więc jedziemy! rzekł Szymek.
Tak tak! pojedziemy!
Ale kiedy, to o tem jeszcze dziś nie wiemy,
Bo panowie pieniądze, papiery zabrali
I czekać w Wadowicach kilka dni kazali.
I wy tam także złóżcie Szymonie, co macie.
Swe papiery, pieniądze, tym panom oddacie,
Oni nas będą tutaj przez ten czas żywili,
Zanim się wybierzemy do świętej Brazylii.
Słuchał już tedy Wojtka Szymek i dnia tego
Złożył też swe pieniądze u pana jednego.
Nazwiska jego nie znał; znał tylko mieszkanie,
A gdy im się za długiem wydało czekanie
W Wadowicach, on rzekł im, że mają za mało
Grosza. Telegrafować po grosz by się zdało

Do samego papieża. Więc *lir* kilkanaście
Niech odżałują, a za godzin kilkanaście
Będą wielkie pieniądze od Ojca świętego;
A lir dać kilkanaście nie jest nic wielkiego,
Lira — to przecież pieniądz od guldena mniejszy,
A zniesie moc guldenów nam na dzień jutrzejszy.
Dali się i do tego namówić włościanie,
Lecz chcieli też zobaczyć telegrafowanie.
Wówczas ów pan przebiegły, budzik zdjął ze stoła,
I najpierw nad nim krzyknął, że papieża woła,
A potem dzwonić zaczął na prostym budziku,
Twierdząc, że już telegram idzie po druciku,
Tym, co na owych słupach z lalkami się ciągnie,
Wojtek myślał, że pan ów mówi dość rozsądnie,
A więc podziękowawszy temu oszustowi,
Ukłonił się i głową dał znak Wojciechowi,
Aby poszedł z nim razem. Grosza już nie mieli;
Tym panom wszystko dali, czego tylko chcieli,
Ostatnie na telegram do papieża dali,
I nad sobą raz pierwszy mądrze podumali.
Co to będzie Wojciechu, spytał Szymek pierwszy;
Ja przybyłem tu na te wasze kilka wierszy,
Coście do mnie pisali o owej Brazylii,
Lecz zda mi się, żeście się sami pomylili.

Ja czuję, że źle będzie. Chodźmy do kościoła
I pomódlmy się szczerze. Może Bóg odwoła
To złe, co ma nas spotkać. I zanieść do Boga
Poszli wszyscy modlitwę, by minęła trwoga.

PIEŚŃ VIII.

Słońce weszło na niebo, ale tylko świeci,
Choć to to samo słońce, co tak grzało w lecie.
I choć pogoda, Bartek dziś sobie tłumaczy,
Że pogoda bez ciepła zgoła nic nie znaczy.
Mówi ogólnie: „zima“ i pod tym wyrazem
Wszystkie zmiany powietrza mieszczą się już razem
W zimowej porze. — Dzisiaj, przy takiej pogodzie,
Nie wyszedł nigdzie z domu, siedział nawet w chłodzie.
Bo dziś święto; a nie miał drzewa rąbanego,
Więc nie chcąc już naruszać dziś dnia świątecznego,
Nie rąbał i nie palił u siebie w kominku,
Lecz korzystając z chwili miłego spoczynku,
Pomodlił się gorąco najpierw Panu Bogu,
A nie spodziewając się już dzisiaj nikogo,

Usiadł i począł dumać:
Źle dzisiaj się dzieje.
Bieda rośnie, choć jej nikt nigdzie nie zasieje.
Co chwila jakieś wojny; o tem jak mordować
Myśli każdy, lecz nikt, jak z mordu wyratować.
Czyż to, że my piorunu moc możem powstrzymać,
Nie wskazuje, że także dałoby się wstrzymać
I ubezwładnić całkiem siłę mechaniczną,
Co się równać nie może z siłą elektryczną?
Że można wyrzuconą z działa prochu siłą
Kulę armatnią zrobić całkiem nieszkodliwą?
Przecież, jeśli na większe siły środki mamy,
I na mniejsze być muszą; sami to przyznamy.
O! mały dzisiaj postęp. Mały, bardzo mały,
Bodajby lepsze czasy najprędzej nastały,
Bodajby ktoś z majętnych, kogo stać na próby,
Pomyślał, jak ochronić można od zaguby
Człowieka wówczas, kiedy z dział siarczyste gromy
Biją na niego, sypiąc grad kul niezliczony.
Lecz zanim to nastąpi, pomyślećby trzeba,
By każdy stan miał dosyć powszedniego chleba,
By w nędzy poratować te rodziny liczne
Bez chleba i by znieść raz żebractwo uliczne.

Dać żebrakom przytułek. Lecz się tem nie trudzi
Nikt tutaj. Może lepsi są w Brazylii ludzie.
Gdy tak duma Bartłomiej o tem i o owem,
Wszedł Jacenty do chaty z pismem Wojciechowem.
Wojtek do Bartłomieja pisać wprost się wstydził,
Wolał, aby go Jacek o wszystkiem uprzedził. —
Szczęść Boże Wam Jacenty. Cóż to dziś nowego,
Że do mnie przychodzicie? Pewnie coś dobrego!
Oj! nie bardzo dobrego, rzekł Jacenty na to.
Może, gdy Wam opowiem, złajecie mię za to,
Żem tak złą wieść wam przyniósł".
„Mówcież co się stało.
— Ha! Wojtkowi z papieżem nic się nie udało.
Jakto? nie dał nic papież? To już być nie może!!...
A jednak tak jest! nawet jest o wiele gorzej!
Jakto gorzej?
No! gorzej! Wojtek już bez grosza,
Jakiegoś w kraju jeszcze zdybał wydrwigrosza
I ten do centa okradł, jego i Szymona.
Biedny Wojtek już teraz — biedna jego żona.
Właśnie przyniosłem do Was to pismo od niego;
Nawet wstydzi się wracać. Nie ma domu swego,
Wszystko sprzedał. Cóż pocznie? —

Cóż się z Szymkiem stało?
Szymek też oszustowi dał gotówkę całą.
Oszust przyrzekł, że ich aż dokąd chcą odstawi,
Zabrał od nich pieniądze, a potem im prawił
O jakichś telegramach i zniknął gdzieś w końcu
Jak bez pieprzu kamfora, lub rosa na słońcu.
Pisze mi też, że zdybał włościana pewnego,
Który wrócił z Brazylii. Papieża żadnego
Tam nie było i nie ma; blaga Hipolita
Wyszła na jaw. Co powie, gdy go teraz spyta
Wojtek o to, jak on śmiał gadać coś takiego,
Jak śmiał gdzieś w świat wysyłać włościana biednego?
Ja sam kiedy łotrzyka gdy złapię, ubiję,
Bo szkoda, że łotr taki na tym świecie żyje,
Dajcie pokój Jacenty! Snać wyroki boże
Były takie na Wojtka! nic już nie pomoże
Żadna zemsta! niech wraca! tutaj w mojej chacie
Mieszkać będzie!
Sąsiedzie! jeśli mię kochacie.
Pozwólcie, że co myślę, to powiem przed wami.
Ich za dużo powróci, wiecie o tem sami.
U was się nie pomieszczą. Więc Szymka do siebie
Wezmę i będę wspierał go w każdej potrzebie!“...

— Poczciwy mój Jacenty! Wyście też zamożni,
Wy też wiecie, co bliźni, jesteście nabożni,
Róbcie więc, jako chcecie. Ja Wojtka z familią
Biorę. Janek się wkrótce ożeni z Marylą
I będzie mieszkać u mnie — jako powiedziałem,
Bo Marylę, jak swoje dziecko pokochałem.
Ona o mojej żonie, córce pamiętała,
Łkałem, jak dziecko, kiedy ze mną się żegnała,
Ach biedna, nie wiedziała przy owej rozłęce,
Że całym jej majątkiem będą... te dwa wieńce...

PIEŚŃ IX.

Któż znalazł w wnętrzu ziemi taki klejnot drogi,
Za który zbyłby sławę człek, choćby ubogi.
Raczej połowę życia, raczej życie całe
Odda, niżby go plamy czarne okryć miały.
Goją się rany ciała, nawet rany ducha,
Gdy wstąpi weń nadzieja i wzmocni otucha,
Ale zadane sławie i najmniejsze rany,
Sprawiają ból okropny i niezapomniany.

To ból, co w każdej dobie srodze cierpieć każe;
Jego widmo w dzień, w nocy, wszędzie się ukaże,
I trapić będzie strasznie do chwili skonania.
Nie pomogą nic wtedy te niewinne łkania,
Co chciałyby zatopić twoich łez strumieniem
Te widma, co się stały twojem utrapieniem,
Co nie chciałbyś, aby się ukazały wrogu,
Co Cię ścigać będą aż do Twego grobu.
O! to straszne cierpienie. Gdy Ci śmierć zabierze
Osobę drogą sercu, to Ty w swojej wierze
Znajdziesz najpierw pociechę; potem przyjaciele
Z tej okazyi współczucia okażą Ci wiele,
Lecz gdy sławę utracisz najniewinniej w świecie,
I najszczerszy przyjaciel gadkę w sercu wznieci,
I zawsze „**coś**“ pomyśli. A to „*coś*“ to właśnie
Drzwi do jego ufności przed Tobą zatrzaśnie,
On Ci nawet da uczuć, że cię posądzono,
Mówiąc, czemu o innych tego nie mówiono.
A odzyskać straconą przez oszczerstwo sławę,
Trudno tak, jak zobaczyć gdzie czerwoną trawę,
Co powstała zieloną i zieloną zginie,
Tak i twa czarna sława. Życie twoje minie,
A ona czarnym krzyżem stać na Twoim grobie
Będzie we dnie i w nocy i o każdej dobie.

I przechodzień na grób ten rzuci okiem złości,
W którym będą spoczywać Twe niewinne kości.
O sławo! dobra sławo! Ty droższą nad życie!
Któż Twoją wartość zdolny poznać należycie?
Kto stratę Twą przeboleć? bo czyste sumienie,
Tylko wewnętrzne zdolne dać zadowolenie
Dla osoby cierpiącej, lecz nie dla imienia,
Co splamionem zostaje do końca istnienia.
Oszczerstwo, w świat ciśnione, nigdy nie powraca,
Owszem, świat je zbyt często dowolnie przewraca
I tak zmienionym mieczem większym i ostrzejszym,
Więcej jak ten Cię zrani, kto raniąc był pierwszym.
A oszczerca, chociażby chciał może odwołać
Niecne swoje oszczerstwo, to chyba spróbować
I przekonać się może, że to niemożliwem,
Bo kto już wiedział o twym czynie obrzydliwym,
Natychmiast go drugiemu zmiennie opowiedział,
A gdy się już i trzeci o tobie dowiedział,
Już przepadłeś na zawsze, bo każdy coś doda,
I nowinę o Tobie znowu dalej poda.
I nawet gdyby Pan Bóg oszczercy pozwolił
Naprawić to złe, które przez oszczerstwo zbroił,
I dał mu głos w tym celu tak silny, donośny,
Żeby go każdy słyszał i on też odnośne

Chciał odwołać oszczerstwo swoje należycie,
To na nic, bo ten jeden, który całe życie
Miał cię za cnotliwego, mógł umrzeć w tej chwili
I wzgardził tobą, zanim spoczął w swej mogile.
A właśnie to był człowiek, co dobre zamiary
kieś mógł mieć dla Ciebie. Zresztą baśnie stare
Nie ustępują nowym. Kto w czarne uwierzył,
Ten już białe wyśmieje, nie będzie w nie wierzył.
A komuż łatwiej sławę utracić w tym świecie,
Jeśli nie ubogiemu, albo też kobiecie.
Kobieta i ubogi, to są dwa stworzenia,
Na które każdy rzuca łatwo podejrzenia.
Kobietę posądzają, jeżeli jest ładną,
Ubogiego, gdy draby komu co ukradną.
O! bo niech tylko zginie cokolwiek bądź komu,
Wówczas, czy to w publicznym, czy w prywatnym domu
Najpierwsze podejrzenia ubogich trafiają;
Za złodziei nasamprzód biednych uważają.
I nieraz biedak długo cierpi posądzenia,
Zanim nareszcie losów szczęśliwe zrządzenia
Wykryją *kiedyś! kiedyś!* sprawcę właściwego
I zarazem niewinność jego, lecz cóż z tego,
Kiedy on już przecierpiał. Albo też czy wreszcie
Dojdą do wszystkich uszu te prawdziwe wieście?

A po największej części, złodziejem biednego
Zrobią; jest nim, lub nie jest, gdy sprawy innego
Nie ma na razie, albo chodzi o pokrycie
Bogatszego, co kradnie przez całe swe życie.
Aby przecież był sprawca złodziejstwa jawnego,
Znajdzie łotr wyćwiczony zaraz ubogiego
I swoją własną winę już na niego zwala;
Jeszcze się tem, że wykrył złodzieja wychwala.
Wyjdź zresztą na ulice i patrz, co się dzieje
Wolno chodzą, co Ciebie okradli złodzieje,
Tylko gdzieś tam jakiegoś, co skradł kawał chleba,
Gdy skłoniła do tego go wielka potrzeba,
Gdy głód mu rwał wnętrzności, gdy ginął formalnie, —
Prowadzą do aresztów policya, żandarmi.
A wiele między nimi takich prowadzono,
Których całkiem niesłusznie o coś posądzono.
Któż im to wynagrodzi? Któż nagrodzić w stanie?
Nawet gdy wielkie skarby człek taki dostanie,
Nie zatrze nimi wspomnień, nie zagoi rany;
To chyba jedno tylko zrobi skarb mu dany,
Że na przyszłość go zwolni od plam czarnych takich,
Rzucanych nań przez gawiedź ludzi byle jakich.
A iluż także z pośród niewinnie sądzonych
Znaleść można w więzieniach ciężkich osadzonych?...

Tam po największej części są sami biedacy;
Jest i kilku złoczyńców, a zresztą to tacy,
Co w głodzie skradli kawał chleba do zjedzenia,
Albo też siedzą tutaj w skutek podejrzenia
Zupełnie niesłusznego. Siedzą, bo są biedni,
Podejrzano ich nawet bezmyślnie, bezwiednie,
I to już wystarczyło do ich uwięzienia.
Na nic im się nie zdały usprawiedliwienia.
Wreszcie siedzą i tacy, co są kalekami,
Niezdolnymi do pracy biednymi starcami.
Tych zamknął tu policyant prawu swemu wierny,
Aby ich nie zobaczył człowiek miłosierny
Na ulicy żebrzących i nie dał im wsparcia.
I nieraz całe piekło i wszelka moc czarcia
Zadrżała, gdy przed drzwiami więzienia wstrętnego
Dał się słyszeć głos straszny Jezusa Samego:
Zaprawdę Wam powiadam, coście uczynili
Jednemu z biednych Waszych, Mnieście uczynili!!
Tak! o tak się dziś dzieje z sławą ubogiego!
Nic zatem już w tem widzieć nie można dziwnego,
Że rodzina Wojtkowa będąc już ubogą,
Wiele rzeczy swą sławą opłaciła drogo.
Miano ją za złodziei, za włóczęgów zwykłych,
Wiele różnych przejść mieli w obcem mieście przykrych,

Lecz się Bóg jakoś szczerze nią zaopiekował,
I ze wszystkich złych przygód biedną wyratował.

PIEŚŃ X.

W brudnym szynku, w kąciku siedzi ludzi troje;
Obok nich skłopotani siedzą ludzie dwoje.
Tak! tak! mówili starsi. Na starość na łasce
Przyszło nam siedzieć za to, że lisowi w masce
Daliśmy się oszukać".
I nam nie potrzeba
Było uciekać z kraju! Był kawałek chleba!
Suchy i czarny wprawdzie, ale zawsze słodki
Chleb z tej ziemi, co nasi uprawiali przodki.
Tak mówiła Maryla, jedna z pośród trojgu,
Siedziącym obok siebie staruszkom obojgu.
Wtem wszedł Janek, trzymając jakiś papier w ręce
I na pół ucieszony plótł coś, jak na męce.
Wreszcie przeczytał listy Bartka, Jacentego,
Których treścią pobudził do płaczu rzewnego

Wszystkich i sam zapłakał załamując ręce:
„Ach! więc to nasz ratunek — Maryli dwa wieńce!“
I ruszyli natychmiast wszyscy razem w drogę.
Powrotu ich opisywać nie chcę i nie mogę.
Nic zresztą w nim nie było uwagi godnego.
We Lwowie tylko, kiedy szukali noclegu,
Zdybali wiele takich, co już powrócili
Z owej tak przechwalanej i świętej Brazylii.
Ci, nie mając przytułku, w dzień się wałęsali,
Noce zaś po piwnicach lub łaźniach spędzali,
I to jeszcze ukradkiem, by nie wyśledziła
Ich przytułku policya. — Nieraz jama zgniła
Mieściła kilkadziesiąt osób bez różnicy
Płci i wieku. Wielu z nich, nie mając odzieży,
(Może nawet niejeden w to mi nie uwierzy)
Zagrzebało się w śmiecie, by im cieplej było,
Bo o innem okryciu ani im się śniło;
I tak chwalili Boga, że stróż litościwy
Puścił ich spać ukradkiem do tej nory zgniłej.
Ci tylko, których jeszcze stać na dwa krajcary,
Chodzili spać do łaźni. Tam znów w kłębach pary
Nagie postacie ludzkie i najpotworniejsze
Bez różnicy płci, wzrostu, duże, małe, mniejsze,

Przypomniały piekło. — Lecz tam jako tako;
Przynajmniej ciepło, ale wszędzie mokro za to;
Więc muszą spać tu nago, na stopniach lub ziemi;
Kilku tylko jest takich, co są wyróżnieni.
Ci śpią na obróconej wannie dnem do góry,
Nieco z dala od jeszcze buchającej chmury.
Lecz dali *trzy* krajcary za posłanie takie,
Na co się nie zdobędzie tam gość byle jaki. —
Taki koniec wychodźców widząc buczaczanie,
Co rychlej się wybrali do domu złamani. —
Gdy wrócili, rzekł Bartek: Podziękujcie Bogu,
Że wam pozwolił dzisiaj stanąć w moim progu
Właśnie mówił ksiądz dzisiaj, abyśmy wiedzieli,
Że nasi tam w Brazylii z głodu poginęli,
Dziękujcież Bogu, że Was tam jeszcze nie było,
Bobyście byli pewnie nie wrócili żywo.
Lecz kiedyście już tutaj, — to niech rychło Janek
Sięga po upragniony swój małżeński wianek.
I Marylę chcę widzieć wnet w ślubnej sukience
I dać jej, co przyrzekłem za owe: „Dwa wieńce“.
Więc błogosław Was Boże wielki, wszechmogący,
Do Niego zasyłajcie swe modły gorące,
On nigdy nie opuszcza, tego, kto Go wzywa,
On zawsze w ciężkiej chwili z pomocą przybywa.

Wy zaś, Wojciechu drogi, przyjmcie to mieszkanie,
Jako Wam obiecałem, tak niech się już stanie.
Żyjmy razem szczęśliwie, módlmy się do Boga,
On nam będzie pomocnym i strzegł nas od wroga.
A gdy skończym dnie nasze — On niech z pod tej strzechy
Zabierze nas łaskawie do wiecznej pociechy.
Amen — dodał Jacenty — i rzekł:
Was Szymonie,
Jakom już uroczyście przyrzekł swojej żonie,
Zabieram do swej chaty. Przyjmcie w niej mieszkanie,
A Ty nam w niej błogosław Miłosierny Panie!...

* * *

W miesiąc po tem Maryla przed Ołtarzem Pana
Zaślubiła na wieki kochanego Jana.
A skronie młodej pary oblały rumieńce,
A głowę ich zdobiły... już ślubne,
Dwa wieńce!

* * *

Bolkiem tymczasem także kierowały nieba,
Skończył studya o głodzie, — doczekał się chleba,

Los go zbliżył do Laury i z nią go połączył,
I tak się jego romans szczęśliwie zakończył.
Ale ponieważ Laura raz zamężną była,
Jednak kościelna władza ślub unieważniła,
Więc szła panną do ślubu, z drużbami pod ręce,
I tak miała na sobie ślubne aż:
„dwa wieńce“.

* * *

Lecz smutny bardzo koniec spotkał Hipolita
I radcę sądowego. Rzecz niepospolita:
Hipolit był z zawodu pokątnym pisarzem,
Wkrótce zaś radca, mimo, że był konsyliarzem,
Porzucił sądownictwo i pisywał skargi
Jako adwokat; ale miał z ludźmi zatargi,
W końcu okrył się hańbą! Także Hipolita
Każdy szydząc o „raje“ i „papieże“ pytał,
Więc się Hipolit z radcą krótko poradzili
I obaj się na jednem drzewie powiesili.
Radca jeszcze miał krzyknąć ze swojej gałęzi:
Hi...polit... c... ciąg za n... nogę, prędzej koniec będzie!...
Tak skończyli obydwaj. Pogrzebu nie mieli;
Rakarze w dwa okłoty cielska ich wepchnęli

I tak je zakopali. — Opaski słomiane
Zdjęte z obu okłotów, w kółka pozwijane,
Spletli w wieńce rakarze i pod nosem sobie
Mrucząc i drwiąc złożyli na ich wstrętnym grobie.
I dwa słomiane wiechcie, przez rakarzy ręce
Splecione zastąpiły samobójcom wieńce. —